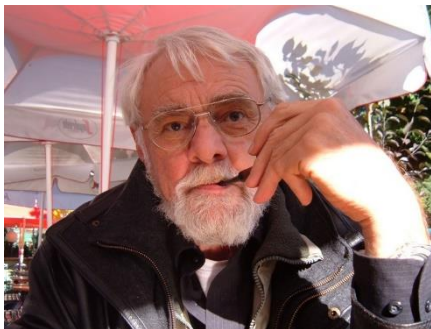


Zamyślenia



Fot. Andrzej Dębowski

Przechodzień z Via Dolorosa

dla Krzysztofa Nowakowskiego-juniora, którego „Ostatni list” zamieszczony w londyńskim „Dzienniku Polskim” wzruszył mnie do głębi.

Kazimierz Ivosse

Dotknąć czyjegoś istnienia... dwóch istnień naraz. Nie, to za trudne. Zresztą Tadeusza już nie ma... Czy to możliwe, aby wszystko zginęło wraz z człowiekiem odchodzącym? Nie, pozostają przecież najbliżsi, ich serdeczna pamięć. Zmógł tu, na emigracji, całą głębię samotności i dlatego może rozumiałem Tadeusza. Nie miałem szczęścia poznać osobiście tego człowieka. Czełało to na mnie jak najpilniejsze zadanie. Ale nie zdążyłem. On wrócił do starego kraju, ale wciąż był obecny tu, pośród nas. Miał też do spełnienia swoje zadanie i myślę teraz, że było ono zbyt wielkie na jego nadwątlone siły i możliwości. Był głodny Polski i to była jakaś obsesja. Wiele o tym mówił w RWE i pisał na łamach emigracyjnych czasopism. Teraz milczy. To właśnie on wiedział najlepiej, że „czasami do przeżycia dnia potrzeba nam więcej dzielności, niż jej posiadamy”. Tak musiało być z tą pierwszą podróżą Krzysztofa do Polski. Był chłopcem jakby zawieszonym pomiędzy dwoma biegunami i wszystko w nim było otwarciem i jednocześnie zaprzeczeniem. Jako pisarza zawsze interesowały mnie owe momenty przełomowe. Postanowiłem zatem odbyć razem z nim owe podróże, korzystając tutaj z zapisków bolesnych, które może skreślić tylko kochające serce...

To był rok sześćdziesiąty szósty. Lato rozlało się nad miastem słonecznym żarem, kiedy pociąg wtoczył się na peron z dość sporym opóźnieniem. Pierwszy raz miał zobaczyć babcię Emilię i ciotkę Wandę. Dwie najbliższe ojcu istoty. Potem ręka bolała go od ramienia do nadgarstka, gdyż tyle rąk musiał ucisnąć na powitanie przez ten cały dzień. Nie, nie czuł się jak powracający z wygnania książę, chociaż taka właśnie myśl wpadła mu wówczas do głowy. Wszystkich musiało poznać, ze wszystkimi poznanymi ludźmi zamienić bodaj jedno słowo. A miał tak mało czasu. Był dla rodziny pierwszym odkryciem i dlatego ciotka obmyśliła sobie, że takim samym odkryciem powinna podzielić się z całym tym miastem nad Brdą. Jaką prawdę mógł im wszystkim dać, kiedy pytali go o ojca? „Trudno być synem wielkiego pisarza”. Musisz tam być, synu! Musisz, boja nie mogę... Więc zajął na krótko do

Bydgoszczy. To powrót do źródła siebie, synu. Kiedy był małym chłopcem, nie pojmował tego swoim sercem i rozumem. Dopiero później, wiele lat później nauczył się wysysać każde ojcowskie słowo, każdą literę z listów, z rozmów telefonicznych, z kart jego książek, z artykułów, z publicznych występów, z audycji radiowych. „Zawsze żyłeś publicznością i nic cię tak nie ekscytowało jak pełna sala. Publiczność była twoim fortepianem, a tyś na niej grał, grał allegro eon brio...”. Tamten przyjazd do Polski był wyrwą w jego życiu, ale i też wielkim skupieniem. Dla ojca ta podróż miała pewnie jakieś ukryte znaczenie. Bardzo chciał tego, a jego wola była święta i nie mógł mu odmówić. Nauczył się właśnie tu, czym jest więź i miłość rodzinna.

Na odległość tego się nie dokona. Przygotowywał się do tego skoku, gdyż miał to być tylko jeden skok, sus, jak wyraził się ojciec. On powinien napisać książkę o swoim dzieciństwie tutaj, myślał wówczas, ciągle potrząsając ręce przedstawianych mu przez ciotkę Wandę dalekich krewnych, bliskich i znajomych ojca. Dzieciństwo to okres wielkiego poznania i rzeczywiście ojciec miał rację, że potem już nigdy nie wraca tego rodzaju otwarciu. A jego dzieciństwo tam, daleko? Będzie musiał przejrzeć te klisze, na których widział siebie siedzącego na stosie walizek wszędzie, gdzie los rzucał ojcem. Nade wszystko ta starta klisza w bawarskim pejzażem w tle. I zawsze ten jego straszliwy pośpiech wewnętrzny. Tak było od śmierci matki, kiedy to nie mógł pojechać na jej pogrzeb. Zaczęły trząść mu się ręce, ograniczył na pewien czas towarzyskie spotkania, bez których przecież nie mógł żyć. Wszyscy wokół bali się nawet odetchnąć głębiej, aby nie budzić jego rozpacz. A potem znów rzucił się w wir opętańczej pracy. Emigracja to swego rodzaju jakby utracona przestrzeń. Rośnie ona i powiększa się wraz z latami, które mijają na obczyźnie. Dotąd była przy nim łaska obecności żony, gdzieś tam daleko, ale która była, istniała. I nagle jej zabrakło. To właśnie w tym momencie stracił niejako poczucie tożsamości i autentyczności. Ale po co o tym teraz myśleć. Wówczas był krótko w Polsce i teraz też nie zabawi długo. Położył rękę na ramieniu syna, potrząsając nim lekko. Płakał. Jego pierwszy w życiu pogrzeb. Tak szybko wszystko się stało. Dopiero co był w szpitalu w Warszawie. Lekarze usiłowali go uspokoić. Wszystko będzie dobrze. Musiał natychmiast wracać do Londynu. Wzywały go obowiązki. Poddał się pracy, jak poddał się kiedyś ojciec. Wtedy w sześćdziesiątym szóstym roku, dzielił ich od kraju mur, ale ludzie byli mężni wobec bytu, żyli jakby poza czasem, który im wyznaczono. Nie widział w ludziach, których za sprawą ciotki Wandy poznał, nie widział ani posłuszeństwa w ich postępowaniu, ani pokory czy uległości. Wówczas był synem dysydenta. Jak to dziwnie brzmi... Teraz, przez tych parę dni bytności, nie poznawał ich dosłownie, byli jacyś inni, zabiegani, zdyszani, nerwowi. Gdybyś zobaczył! Ale przecież musiał to widzieć, musiał przeżywać tutaj ten czas, kiedy przyjeżdżał do Polski jako ceniony obywatel i najwspanialszy gość. Potem dopiero zdecydował pozostać tu na stałe. Trudna to była decyzja „przenieść życie... w walizkach z ziemi bawarskiej do polskiej i zacząć myśleć o tym, gdzie je rozpakować. Wiedziałeś, że ten powrót do Ojczyzny to ostatni rozdział twojej biografii. Będąc pisarzem wiedziałeś, jak ten rozdział się skończy”... A co pozostanie, gdy już odejdziesz wszystko od nas? Nie było już babci Emilki i cioci Wandy. „Cienna dębowa trumna, która zawsze zwycięża. Tak się boję, mówiłeś, tak się boję”. W Warszawskim szpitalu prawie go nie poznał. Choroba ścięła go, wysuszyła na wiór. Wszystko będzie dobrze, proszę się nie martwić...

Poprawił synowi kurtkę, otulił go szczerze. Sam miał przemoczone obuwie. Wiał zimny porywisty wiatr. Śnieg zabielał cały cmentarz. Kopy śniegu na drodze tak, że z trudem dotarli samochodem do miasta. Taka właśnie pogoda towarzyszyła kiedyś pochówkowi trzydziestopięcioletniemu Mozartowi na wiedeńskim cmentarzu dla biedoty. Nikt z bliskich go nie odprowadził do zbiorowej mogiły. Dlaczego przyszło mu to do głowy? Po drugiej stronie grobu i umieszczoną na deskach trumną, tkwił brat. Na chwilę spotkały się ich spojrzenia. „Byłbyś dumny z własnego pogrzebu, z Mszy św. w Kościele Św. Krzyża przy Artyleryjskiej”. Przyszło dużo ludzi, aby cię pożegnać. Mimo fatalnej pogody. Zobacz tylko tych harcerzy w czerwonych rogatywkach ze swoimi barwnymi sztandarami. „Byłbyś z nich dumny. Wierzyłeś w młodych i w naszą nową Polskę, mimo że nie potrafiłeś w niej znaleźć miejsca dla siebie”... Potrafiłeś obdarzać wszystkich wokół swoją witalnością, zawsze pokładając nadzieję w przyszłości. Przyszłość jest nami, mówiłeś te słowa z oddalenia, z tego domu Pisarza w Londynie, z małego, ciasnego mieszkania obłożonego pod sufit książkami, potem z mieszkania na Harlaching w Monachium, z Ameryki, zewsząd wołałeś głośno, jak woła się do głuchoniemych. Twoje sądy były surowe, ale sprawiedliwe. I co zobaczyłeś? Kotłownia. Polacy, czego by nie dotknęli, zamieniali wszystko w mit. Jak król Midas – w złoto mitu. Tak stało się z „Sierpniem 80”. Przeszło, przeminęło i nic nie pozostało. Przyszli tu dawni wodzowie tej wyniesionej pod niebo literki „S”. Ich czerwone od zimna twarze przypominają twarze Indian w Muzeum Karola May’a pod Dreznem. Zasypali twoją trumnę kwiatami i stosem wieńców w szeleszczącymi na wietrze szarfami. Pewnie są tam jakieś napisy, znamienne słowa. „Miasto Bydgoszcz niczego ci nie pożalowało w tej ostatniej posłudze. Hejnał na trąbce, organy, biskup w asyście księży, harcerze, gwardia honorowa”. Po mszy, na kamiennej posadzce rozległ się równy stukot wojskowych butów. A przecież ty zawsze bałeś się wojska i nienawidziłeś broni. Widziałeś podobne plutony, ale byli to inni żołnierze, w innych czasach, o których z mną nigdy nie rozmawiałeś. Cierpieniem chwałą się przeważnie ci, którzy nigdy nie cierpieli. Ty milczałeś. Teraz też milczysz. Każdy człowiek ma swoją historię. Nie należy wyrzekać się tej historii, choćby była pełna błędów, grząskich ścieżek, jak ta cmentarna alejka, na której rozciągał się przedtem kondukt pogrzebowy. Wielki, czarny, amerykański karawan firmy „Ford” co minutę stawał, bo gasł silnik. Ciągle wszystko nam się psuje, coś gaśnie, coś staje w połowie drogi... Prosiłeś, aby cię pochowano razem z matką. Teraz będziecie zamknięci razem w ziemi, grząskiej teraz i błotnistej. Z jednej strony tory kolejowe, z drugiej strony cmentarz katolicki. Maszynista zwolnił bieg lokomotywy na widok procesji. I pewnie się zastanawiał, kogo tu odprowadzają. A babcia Emilia była też wyznania ewangelickiego. Czy to ma znaczenie w obliczu jednego przeciwieństwa Stwórcy? Śpij z Bogiem, Tedek. Kochany Tedku, drogi ojciec... tak przecież przez wiele lat zaczynał każdy list, choć z tą korespondencją różnie bywało. Teraz też pisze ostatni list. Będzie go czytał tam, daleko... a może to jest blisko? A ktoś powiedział, że cieszy się, gdy umiera człowiek dobry. To strata dla ludzi, ale nie dla niego. Zły człowiek sam się już osądził. Zatem śmierć dopełnia w nas dobro i zło. Jak dźwignąć się z tej rozpacz? To przejdzie, bo wszystko przechodzi, a żywi i umarli i tak będą razem pomieszani, powiązani, na jednym planie czasu. Ból jest jedynie sprawdzianem naszej miłości.

Tak, należy kochać aż do bólu.